



W
ydawnictwo
ab

ANDRZEJ BART

REWEAVERS

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

Andrzej Bart (ur. 1952) – powieściopisarz, scenarzysta, autor filmów dokumentalnych. Uchodzi za jedną z najciekawszych postaci polskiej literatury. Autor słynnej powieści *Rien ne va plus* (1991), która została uhonorowana Nagrodą Kościelskich. Wydał też między innymi: *Pociąg do podróży* (1999) oraz *Don Juan raz jeszcze* (2006). Jako Paul Scarron jr napisał metafizyczno-żartobliwy kryminał *Piąty jeździec Apokalipsy* (1999). Wydaną nakładem W.A.B. powieść *Fabryka muchołapek* (2008) nagrodzono „Gwarrantami Kultury” przyznawanymi przez TVP Kultura oraz nominowano do nagród literackich „Cogito”, „Gdynia” i „Angelus”. Powieść znalazła się także w finale Nagrody NIKE 2009.

Wydawnictwo
ab
two

ANDRZEJ BART

REWERS

nowela filmowa

Czas o tym powiedzieć. Po pierwsze, nie popełniłam samobójstwa, choć, muszę przyznać, byłam tego bliska. Naiwny autor powieści Rien ne va plus zasugerował to mniej więcej tak: „Nie minął jeszcze piątek, kiedy Bożena weszła do łazienki i żywa już z niej nie wyszła”.

Po drugie, nie mam na imię Bożena.

Sabina

Warszawa, początek lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku

Powinna pamiętać o kupieniu chleba i pamiętała. Sprzedawczyni nie była uprzejma, ale nie była też nieuprzejma, co już robiło wrażenie. Sabina spróbuje podziękować uśmiechem, ale spóźni się i uśmiech nie już po zamknięciu za sobą drzwi. Zawstydzenie z tego powodu będzie jej towarzyszyć do placu Unii Lubelskiej.

W kinie nawet nie pomyśli, że na jej twarzy wykwita rumieniec. W ciemności jest bezpieczna. Przebywa w świecie innym niż książkowy – jak twierdzi mama: w głupim – ale przez dwie godziny dającym ciepłe schronienie od niepotrzebnych myśli.

Na sali może dziesięć osób, z których tylko jedna zdejmuje palto, ale zaraz znowu je wkłada. Bileterka zawiadamia o zepsutym ogrzewaniu takim tonem, jakby miała pretensje do widzów. Siwy mężczyzna, który przyszedł do kina z żoną, mówi o tym głośno,

może nawet za głośno: „Czy to my jesteście winni, że nie dowieźli koksu? Bierzecie pieniądze, i co?” Na bileterce nie robi to najmniejszego wrażenia. „Komu się nie podoba, kasa zwraca za bilety”. Światło zaczyna gasnąć, zanim odwróci się do wszystkich plecami i wyjdzie. Po chwili rozjarza się ekran.

Sabina lubi kroniki, bo przedłużają moment oczekiwania na film, ale też można się z nich dowiedzieć, co się dzieje w świecie. Lektor opowiada o uroczystościach państwowych w Moskwie, a na ekranie Józef Stalin kiwa dobrotliwie dłonią do przepływających pod trybuną tłumów. Las transparentów zachwalających pokój. Idą sportowcy różnych dyscyplin. Dziewczyny niezbyt ładne, o szerokich twarzach, ale mężczyźni ciekawi. Oblicza może niezbyt piękne, lecz czyste czystością niezapisanej kartki papieru. Kulomoci i oszczepnicy prężą mięśnie i uśmiechają się do Sabiny. Sabina odwzajemnia się rumieńcem i przerażeniem w oku. Wyświetlony potem *Pierwszy start* nie zrobi już na niej wrażenia, zwłaszcza że dwukrotnie zacięła się taśma i na sali zapalano światło.

Marszałkowską w stronę Hożej. Zrujnowane kamienie jeszcze niedawno były reprezentacyjnymi gmachami. Sabina mijając dom, do którego jako dziewczynka przychodziła na lekcje skrzypiec. Jak zawsze, kiedy tamtędy przechodzi, podnosi głowę, aby spojrzeć na pokój, w którym profesor Tarszyc uczył ją grać. Pokój zapadł się razem z połową domu trafionego bombą, ale na ocalonej ścianie widać tapetę, z której żona

profesora była bardzo dumna, bo zaprojektował ją dla niej kuzyn samego Czermańskiego.

Zatrzymuje się przed wystawą sklepu z butami i myśli, czy nie sprawić sobie na wiosnę brązowych czółenek. Nie jest próżna, a więc tylko przypadkiem zauważy swoje odbicie w szybie wystawowej. Widzi postać, która nie tylko nie może nikogo zachwycić, ale nawet zainteresować. Chodzącą przeciętność w jesionce przerobionej z marynarskiego płaszcza, kupionego na bazarze za trzynastą pensję.

Czy tak właśnie wygląda? Chciałoby się wierzyć, że tylko wrodzona niewiara w siebie ujmuje jej urody, bo przecież ma pięknie wykrojone usta. „Spróbuj się więcej uśmiechać – powtarza babcia – a wtedy chłopcy inaczej na ciebie spojrzą”. Babci należy wierzyć i Sabina uśmiecha się posłusznie. Nie widzi żadnej zmiany, choć uśmiech jakby ujął jej wieku. Ma dwadzieścia dziewięć lat i jest przekonana, że kiedy dożyje trzydziestki, młodość zostanie bezpowrotnie utracona. Wierzy też, że wszyscy słusznie ją podejrzewają, że jeszcze nigdy nie całowała się z mężczyzną.

Zatłoczony autobus? Pójdzie pieszo, przede wszystkim dlatego aby dłużej pobyc sama na zatłoczonej ulicy. Na jednej z wystaw suknia w czarno-białą pepitę. Dekolt za bardzo odsłania szyję, a całość nie pasuje do brązowych butów. Szczęśliwie żadnych już więcej pokus i Sabina dochodzi do placu Unii. Lubi ten niezniszczony zakątek miasta, bo przypomina Warszawę sprzed kilku lat. Modernistyczne kamienice zajęły tu

w wojnę okupanci, a po niej dygnitarze nowego ładu. A ja przecież nie jestem żadnym dygnitarzem – myśli Sabina i wchodzi do jednej z nich. Chce przywołać windę, kiedy niespodziewany głos z góry:

– Sabiniu, pospiesz się...

W oczach wychylającej się przez poręcz mamy za troskanie większe niż zwykle.

Nie czekając na windę, Sabina szybko wbiega po schodach.

Pani Sabina

Warszawa, początek dwudziestego pierwszego wieku.

Ta sama klatka schodowa

Pani Sabina ma już dużo lat. W lustrze windy spojrzy na siebie śmiało i zobaczy zadbaną staruszkę. Nigdy nie chciała być staruszką, zobaczy więc starszą panią ubraną w tweedowy płaszcz i brązowy kapelusz. Kapelusz jest starszy od dziewczyny, która wsiadła właśnie do windy. Dziewczyna gotowa byłaby przysiąc, że jej pani sąsiadka mówi do siebie: „Muskulatura sportowców nie robiła na mnie aż takiego wrażenia...”

Dyrektor

Sabina z wrażenia nie śpi pół nocy. Powtarza się to zawsze, kiedy ma rozmawiać z dyrektorem Barskim.

Idzie długim korytarzem w stronę gabinetu i czuje drżenie kolan. Z medycznego punktu widzenia może dziwić, że mimo drżenia idzie szybciej niż zwykle. W sekretariacie pani Krystyna zdradza jej sekret robienia na drutach. Zamówiony miesiąc temu sweter z beżowej wełny jest już gotowy. Ciemnobrązowy kołnierz i mankiety. Zestawienie kolorów doradziła babcia, która miała podobny sweter na pensji, także zrobiony przez kobietę o imieniu Krystyna.

– To takie proste, pani Sabinko. Siedem oczek lewych i sześć prawych. A mankiety ściągaczem... – Krystyna z sekretariatu jest życzliwa całemu światu, choć, jak mówią, ma kłopoty z mężem, który podobno już dwukrotnie był przesłuchiwany bez powodu.

– Chyba trzeba do tego dużo cierpliwości... – Sabina sprawia wrażenie przejętej, choć w tej chwili obchodzi ją tylko to, co powie Lidia, druga sekretarka Barskiego, która weszła do gabinetu i już długo nie wychodzi.

– Pani redaktor, a kto może mieć więcej cierpliwości od pani? Cały czas nad książkami...

– Ile się należy, pani Krysiu?

– Co też pani, pani Sabinko. Mało to mi pani pomogła z tym lekarstwem. Niech się nosi na zdrowie.

– Tak być nie może. To pani praca i musi być zapłacona... – w głosie Sabiny przekonanie o własnej racji, a w dłoniach portmonetka.

W drzwiach gabinetu pojawia się Lidia. Jest jedną z piękniejszych dziewczyn w Warszawie i Sabina za-

wsze na jej widok odczuwa ukłucie zazdrości. Gdyby jednak miała wybierać, zamiast urody wolałaby mieć podobną śmiałość. Lidia niczego się nie boi i potrafi się nawet głośno zaśmiać w obecności dyrektora.

– Rozmawia przez telefon, ale możesz wejść. Jest dzisiaj w dobrym humorze. – Przepuszcza Sabinę i zamyka za nią drzwi. – Beżowy kolor pasuje do niej jak ulał. Lepszy byłby tylko szary... – mówi o swetrze, który pani Krystyna zawija w papier.

Pomyśl lepiej o swoich jaskrawych szminkach – chce odpowiedzieć pani Krystyna, ale milczy.

Gabinet duży i do biurka idzie się długo. Sabina jako dziewczynka była tu z ojcem. Zapomniała już, w jakiej sprawie i dlaczego ojciec wziął ją do swojego przyjaciela, prezesa banku rolnego. Z tamtej bytności został jej w pamięci smak czekoladowej trufli i zapach koniaku pitego przez mężczyzn. Z następnych wizyt pamięta nie tylko każde słowo Barskiego, ale i każde uniesienie brwi.

Biurko stoi w tym samym miejscu co przed wojną, kanapa i fotele przesunięte są bardziej pod okno. Na pewno więcej książek, inne też portrety na ścianach. Portret Piłsudskiego, który zapamiętała, nie był udany, bo Marszałek wyglądał na nim bardzo groźnie, a przecież taki nie był. O portretach, które wiszą teraz, woli nie myśleć. Nowym w gabinecie meblem jest stół konferencyjny. Na pewno nie stał tu w lipcu.

– Wolałbym, abyście nie zawiedli, towarzyszu. Samolot nie jest nam potrzebny, aby przewieźć meble...

– Barski rozmawia przez telefon. Na widok Sabiny uśmiecha się i wskazuje jej jeden z foteli.

Sabina siada i przypatruje się lampie na biurku. Ledwie ubrana kobieta z brązu podtrzymuje szklany klosz. Zza niej dobrze widać człowieka, który choćby mówił szeptem, zawsze będzie słyszany.

– To sprawa polityki, i to nie tylko kulturalnej. Rozumiecie, co mam na myśli? Tak, czekam na potwierdzenie... Dureń! – Ostatnie słowo wypowie już po rzućeniu słuchawki na widełki. Teraz dopiero spojrzy na nią i uśmiechnie się tak, jak tylko on potrafi. – Z czym pani przychodzi, pani redaktor?

Wstał zza biurka i usiadł w fotelu naprzeciw niej. Nie był wysoki, ale należał do ludzi, którzy przyciągają uwagę. Tak wyobrażała sobie Napoleona Bonaparte, z tym tylko że Barski nie robił ważnych min i nie trzymał ręki na piersiach. W pogniecionej marynarce i koszuli z kołnierzykiem na guziczki wyglądał dzisiaj jak pisarz Somerset Maugham, którego zdjęcie miała na biurku.

– Z niczym ważnym. Szefowa kadr zadecydowała, że w najbliższym pochodzie będziemy przebrani w stroje sportowe...

– To raczej odgórna dyrektywa. W zdrowym duchu zdrowe ciało, czy może odwrotnie. My, którzy krzewimy oświatę, mamy okazać gotowość do tężyzny fizycznej. Niby śmieszne, ale w normie, nie sądzi pani?

– Tyle tylko że my, w redakcji poezji, mamy być łyżwiarkami figurowymi...

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).